Ostatni Latyn: Zygmunt Kubiak (1929-2004)

Zygmunt Kubiak, Warszawa 1998, fot. Elżbieta Lempp.

Florian Śmieja

Pamiętam przedwojenny podręcznik gimnazjalny do nauki łaciny i jego motto „Disce puer latine”. Nie były to jednak czasy króla Stefana Batorego, który obiecywał nagrodzić godnościami tych, którzy łacinę opanują, niemniej przeto język Rzymian był w poszanowaniu, a jego mistrzowie stanowili zdumiewającą gromadkę lojalnych miłośników antyku pragnących nie tylko nauczyć języka Cycerona, ale także kultu wielkiej śródziemnomorskiej cywilizacji.

To dzięki przykładowi mojego profesora łaciny w wojskowym gimnazjum w Szkocji ośmieliłem się przekładać Wergilego polskim heksametrem, by później wręczyć moją wersję IV Bukoliki, mesjanistycznej, wielkiemu piewcy antyku, Janowi Parandowskiemu na stopniach British Museum, kiedy mu pozwolono pojechać na zjazd PEN Clubów do Londynu.

Podziwiałem niektórych księży znakomicie posługujących się łaciną, przyklaskiwałem Watykanowi przemyślnie kreującemu łacińskie słowa na „motocykl”, kiedy masowo odwiedzili Ojca św motocykliści.

Po zaledwie roku greki i lekturze o młodym Cyrusie musiałem zadowolić się przekładami greckiej literatury na polski. Tymczasem te tłumaczenia wcale nie były błahe: do dziś

poważam piękne teksty, które ukazały się na emigracji w Londynie, a więc „Iliadę” Homera w roku 1961 i „Eneidę” Wergilego w 1971 przełożone przez Ignacego Wieniewskiego. Stoją nadal na moich półkach. Zaglądam też do wydanego przez Veritas w Londynie w 1957 roku przekładu „Odysei” Józefa Wittlina. Ta trzecia wersja pokazuje upór tłumacza, by stworzyć wersję ostateczną. Już wówczas Wittlin ostrzegał:

> “Mimo że wypadło nam żyć w epoce telewizji zabijającej wyobraźnię, czy tylko ograniczającej jej pracę, musimy posiłkować się starodawną magią słów, pisanych i drukowanych, gdy chcemy czytelnika wprowadzić w losy Telemacha, a nawet wzruszyć tymi losami. Telemachia czy Telewizja”.

Tymczasem Kościół Katolicki zarzucił używanie łaciny, nawet przemocą rugował ją z lubianej liturgii. W szkołach przestano jej uczyć, tak że dziś przedmiot to arcyrzadki.

Z jej zmierzchem oddaliła się nieco kultura antyczna. Musi ona obecnie prosić o wsparcie języki nowożytne. I tak mitologia, literatura czy historia starożytnych Greków i Rzymian stara się nas oczarować w obcej dla siebie szacie. Na szczęście zdarzają się takie cuda dzięki pietyzmowi tłumaczy i pośredników. W Polsce ich czołowym reprezentantem był Zygmunt Kubiak.

Jego nazwisko zadźwięczało w moim uchu po raz pierwszy bardzo dawno temu bo w 1957 roku. Wtedy to pismo nasze „Merkuriusz Polski” wydawane przez młodych w Londynie ogłosiło konkurs dla dobrze zapowiadających się młodych krytyków, a światłe jury pod przewodnictwem Jerzego Zawieyskiego wybrało laureatami Mariana Pankowskiego z emigracji, a z kraju Jana Błońskiego, Andrzeja Kijowskiego oraz Zygmunta Kubiaka. Tego ostatniego miałem poznać dopiero kilka lat temu we Wrocławiu, kiedy odbierał nagrodę „Odry”. Z miejsca mi wyrecytował mój wiersz poświęcony Markowi Aureliuszu wprawiając mnie w niemałe zdumienie.

Wybitny tłumacz Wergilego, liryki łacińskiej, „Wyznań” św. Augustyna oraz nowogreckiego poety Kawafisa, zaskoczył sceptyków ogromnym powodzeniem swoich książek „Mitologia Greków i Rzymian”, „Literatura Greków i Rzymian” oraz „Dzieje Geków i Rzymian” i z czasem obsypany został nagrodami i wyróżnieniami.

W 1995 roku przywiozłem sobie z Polski jego „Brewiarz Europejczyka”, zbiór esejów napisanych dla pokrzepienia bratnich duchów. Napisał on wtedy:

> “Muszę uznać, że żyję w okresie, kiedy nie mogę dać jakichkolwiek rad, mogę tylko, w całej szczerości, mówić o

> tym, co osobiście wybrałem; może ktoś pójdzie w moje ślady. Przyzwyczaiłem się do tego, by żyć w duchowej samotności, otoczonej sferą mało zrozumiałą. Stopniowo uczę się traktować degenerującą się cywilizację jako coś zewnętrznego wobec mojego życia duchowego".

Niemniej przeto sugerował zwrot ku starożytności.

> "Bogactwo kultury rzymskiej odsłania przede mną podstawy życia społecznego i organizacji państwowej, obiektywne stosunki między ludźmi, a jednocześnie ostrzega mnie i broni przed wszelkimi iluzjami totalitarnymi". Nic dziwnego, że za taką postawę w jednej z gazet nazwano go „Latynem nad Wisłą".

Kubiak należał do grupy tych pisarzy, którzy pamiętają przeszłość. Ciężko doświadczony w czasach PRL-u zganił apologetów tej formacji utrzymując, że proces stwarzania fikcyjnej przeszłości nadal rozwija się i narasta. Drukowany w czasie przedgomułkowskiej luki w cenzurze esej „Natura i obłęd" pojawił się w książce w towarzystwie działu „Z przeszłości" i „W piwnicy niewoli tchnienie wolności w kulturze". Autor nakreślił w nim delikatny obraz powściągliwego i ostrożnego Jerzego Turowicza. Kubiak dodaje:

> „A pod tą łagodnością była stal dawnych rycerzy i hetmanów. Zupełna niezłomność. I absolutna prawość, szlachetność. Nie spotkałem nikogo, kto byłby tak twardy, jak ten łagodny człowiek, który nigdy nie podnosił głosu”.

Konkluduje wskazując na odepchnięcie przez Turowicza zarówno obskurnej lewicy jak też obskurnej prawicy.

> „Strefa Jerzego została i już w Polsce zostanie. Cierpi się nadal, ale można przynajmniej w głębi swojej duszy spokojnie zignorować dwoisty terror dwóch odłamów kretynów: tych od rdzennych Polaków i tych od laickiej postępowości. Można spokojnie zmierzać – choćby to była jeszcze długa i bardzo trudna droga ku Polsce obywatelskiej”.

W “Zapiskach z wędrówki” wspominając dzieciństwo nie zapomina o gorzkim smaku, jak powiada, brzemienia dojrzałości, tej ważnej zmiany w dziedzinie odpowiedzialności. Sugeruje nam, byśmy się od razu nastawili na taki świat niedoskonały, z zadrą, by

> “…w takim świecie chłodno, z dużą dozą obojętności wobec

> spraw drugorzędnych, prestiżowych, psychologicznych, która komuś może wydać się nawet oschła, pilnować interesów istot, dla których możemy coś uczynić". Taką postawę nazywa szkołą mądrości rodem znad Morza Śródziemnego. Radzi też kultywować cnotę obojętności, wewnętrznego spokoju. Zaleca, że "Dusza sucha jest ze wszystkich najmądrzejsza i najlepsza", czyli taka dusza "która ani nie oddaje się snom i złudzeniom, ani nie płacze nad rzeką czasu".

Najwięcej miejsca poświęca ukochanej Grecji i podziwianemu Rzymowi. A w tym, co mówi o antyku dwie postacie stale się przewijają: Homer i Horacy. Przypomina, że żyli pod tym samym niebem w świecie poddanym straszliwym wyrokom przeznaczenia i śmierci. Obaj w pięknie literatury i sztuki szukali nieśmiertelności. Posłuchajmy Kubiaka:

> "Horacy był heroicznym artystą. Żaden inny poeta nie ukazuje nam tak wyraźnie patosu walki o poetyckie słowo. Bo gdy czytamy „Iliadę", ogarnia nas od razu wielki dech epopei, heksametry szumią i łopoczą, jak skrzydła. U Homera cierpliwa praca poety-rzemieślnika jest niemal zupełnie pokryta przez rozmach potężnego natchnienia. Oczywiście, w swoich ogromnych gestach jest Homer idealnym wzorem heroizmu sztuki antycznej. Nosił on w

> sobie głęboką świadomość tego, co w naszej epoce Conrad nazwał wymierzaniem sprawiedliwości widzialnemu światu. Jakaż mogła być sprawiedliwość dla świata, który ginął z niepojętego wyroku? Walczyć o jego ocalenie, oto hasło poetyckiej służby.To zadanie przekraczające siły człowieka, było jedyną nadzieją dla homerowego świata, nadzieją wypowiedzianą ustami Heleny: „Ciężką nam dolę dał Zeus, abyśmy dla potomnych żyli w pieśni”.

Mimo wszystkiego, co dzieliło obu poetów, Horacy stał w tej walce obok Homera. Umiał go komentować tak wspaniale, jak chyba nikt ze starożytnych, oczywiście – nie wtedy, gdy wyciągał z historii trojańskiej stoickie morały, ale wtedy, gdy z genialną intuicją dotykał Homeryckiej sztuki. Niezapomniana jest ta strofa, w której Horacy mówi o bohaterach greckich z czasów przed Agamemnonem:

> „oto oni wszyscy zaginęli w mroku nocy, bo nie mieli swojego poety. Czy rozumiemy, co znaczy owa sława, którą bohaterowie uważali za najwyższe dobro, co znaczy owo imię żyjące w pieśni? Jest to krąg światła, który zmaga się z mrokiem unicestwienia, z nocą ogarniającą świat. Homer chciał wydrzeć Mojrze choćby część jej łupu. Chciał ocalić blask oczu Achillesa i królewski majestat Troi”.

U Bliklego na Nowym Świecie rozprawiałem z Autorem o wspólnie cenionej przestrzeni rozciągającej się od Morza Bałtyckiego po Morze Jońskie wyobrażając sobie, że siedzę nad sekretnie obudowanym polskim źródłem Aretuzy.

W roku 2003 odwiedziłem go w jego skromnym mieszkaniu w bloku na Pradze. Nie przeczuwalem, że miało to już być nasze ostatnie widzenie.

Nie miał się już doczekać wejścia ojczyzny do Unii Europejskiej, na Nowym Świecie nie będzie dalszych spotkań. Nie otrzymam też widokówek z Aten czy Rzymu od naszego Ostatniego Latyna.